



COVER

MÓJ WYŚNIONY
KONIEC ŚWIATA

GABA KRZYŻANOWSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Szymon Sz wajger

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/coverm>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-6568-1

Copyright © Gaba Krzyżanowska 2020

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Maks

Adrian, mój brat, powiedział kiedyś tak: „Młody. Gdy trafisz na dziewczynę, która zawróci ci w głowie, która będzie od ciebie lepsza i cię zechce, to padnij jej do stóp i nie pozwól odejść. Kochaj ją z całych sił”.

No cóż. Był wtedy kompletnie naćpany. Na trzeźwo nigdy nie pozwoliłby sobie na takie gadki. Patrzyłem na niego, próbując ocenić, czy następnego dnia będzie cokolwiek pamiętał. Może dlatego nic nie odpowiedziałem, bo uznałem, że dawno odleciał. A może dlatego, że nie rozumiałem jego słów. Miałem wtedy pięć lat.

Nie pamiętam czasów, kiedy jej nie było.

Dorastaliśmy w tej samej mazurskiej wsi. Stu mieszkańców, opuszczony tartak oraz niewielki, obskurny sklep. Zimą nie raz odwoływano nam zajęcia szkolne, bo autobus nie dotarł przez zaspę.

Nasz rejon ożywał tylko w wakacje. Z całego kraju zjeżdżali się turyści, grzybiarze, windsurferzy, plażowicze, żeglarze, wędkarze i wszyscy inni spragnieni jezior i lasów. Zapełniali nawet stary PGR w naszej wsi, przerobiony na hotel. Mówię „nawet”, bo choć mieszkaliśmy w krainie tysiąca jezior, to nasza wieś była oddalona od najbliższego jeziora o dobre piętnaście kilometrów — turystyczny środek Nigdzie. Największą okoliczną atrakcją były dawne okopy, stary tartak oraz opuszczone chaty w lesie. To była taka dziura, że nawet psy dupami nie czekały, bo im się nie chciało.

Mieszkała we wspomnianym hotelu, prowadzonym przez jej rodziców.

Ja mieszkałem w domu pod numerem cztery, po sąsiedzku.

„Mieszczuchy — powtarzało się we wsi, rozchylając zasłonki i patrząc na wykupiony przed laty PGR. — Nigdy nie będą tacy jak my”.

Zresztą jej starzy nieszczególnie się starali wtopić w środowisko. Witali się na ulicy, ale z nikim się nie przyjaźnili. „Zgnilizna moralna” — mówiono o nich. Nie chodzili do kościoła. Mieli na aucie naklejkę z napisem „Go vegan”. A ich córka... Ich córka.

Ich córka była *lepsza*.

Nigdy nie była rozczochrana ani posiniaczona, ani choćby spalona słońcem mimo pełni lata. Miała wszystko: nadzianych starzych, modne ciuchy ze sklepów, które były tylko w dużym mieście, olbrzymią chatę, przesłodką twarz, pasję, klasę i wielkie ambicje. Nie zasługiwałem na nią i ona mi o tym na każdym kroku przypominała. Ostatnie, czego chciała, to mnie.

Co więc miałem zrobić? Zgodnie z dawną radą brata, nie mogłem jej kochać. Pozostawało mi więc jej nienawidzić.

Wakacje przed ostatnią klasą podstawówki. Czasy przed reformą, kiedy jeszcze były gimnazja. Upalne lato. Żar z nieba. Susza. Wprowadzono zakaz nawadniania pól. Wszyscy dorosli się martwili, jak zwiążą koniec z końcem. Moja matka, będąca na rencie inwalidzkiej po wypadku przy sieczkarni, jeździła codziennie do dużego miasta, żeby sprzedawać, co tam mieliśmy na zbyciu: mieszanki i koncentraty paszowe, warzywa i zboża z własnych upraw. Ojciec wydzwaniał do banku negocjować warunki kredytu, bo przez suszę nie miał jak spłacić rat za maszyny.

Efekt uboczny suszy był taki, że mieliśmy z kumplami więcej wolnego czasu, bo i roboty przy żniwach było mniej. Siedzieliśmy na murku z Grubym, Tomkiem i Jaśkiem przy tartaku między sklepem a drogą na farmę jeleni.

Dziewczyna minęła nas z podniesioną brodą, nie zaszczyciwszy ani jednym spojrzeniem. Zabujała białą spódniczką i zafalowała dłu-

gimi do pasa włosami. Kapelusz z szerokim rondem robił z niej damulkę. Panienkę z dobrego domu.

— Ej, Elka-muszelka — krzyknąłem za nią, a chłopaki zagwizdały. Teksty podłapywałem od Adriana. — Pokaż cycki. Nie wstydź się.

— Jeszcze rok, a będziesz jęczeć pode mną — zawołał Gruby i pociągnął łyk piwa z puszkki.

Aż mnie ścisnęło ze złości! Była duża różnica między tym, co powiedziałem ja, a tym, co wykrzyczał Gruby. Różnica polegała na tym, że mnie było wolno, a jemu nie.

Popchnąłem go tak mocno, że spadł z murku z głośnym łupnięciem.

— Kurwa! — szczechnął. — Popierdoliło cię, ziom?

Zignorowałem jego bluzgi — należało mu się, naprawdę. Dziewczyna poszła dalej. Nie spojrzała. Tylko prychnęła i odrzuciła swoje ciemne, lśniące włosy. Jej włosy zawsze lśniły tak, jakby słońce uważało ją za swoją primadonnę.

— Nie przejmuj się nim! — krzyknąłem za nią. — Nie pozwolę, by ci zrobił krzywdę.

Dopiero teraz przystanęła na żwirowej, zakurzonej drodze wiodącej prosto do hotelu. Spojrzała na mnie z niepewnością.

— Nie pozwolę, by ci zrobił krzywdę — powtórzyłem swoje słowa. — Bo sam ci ją zrobię pierwszy.

Chłopaki zarechotały, nawet Gruby, który zdążył się otrzepać z pyłu i alkoholowego błota. Twarz dziewczyny skamieniała. Wyciągnęła dłoń w moim kierunku, jakby chciała zamachać, po czym ją obróciła i pokazała szczupły, środkowy palec.

Przy swoich rodzicach grała grzeczną. *A, e, dziękuj-ę, poprosz-ę*. Ja przy jej rodzicach również byłem miły: *dzień dobry, do widzenia* — wszystko tak, jak trzeba. Byłem pewien, że nie wiedzieli, że ich córeczka pierwszy raz kazała mi spierdalać (tak właśnie się wyraziła), kiedy byliśmy jeszcze w przedszkolu.

Jak zwykle usiadłem w szkolnej ławce za nią. Postawiłem sobie za punkt honoru, żeby sprawić, by było jej głupio, tak jak mnie było głupio, gdy wyśmiała mnie na oczach wszystkich naszych kolegów i koleżanek nie tak dawno temu, na imprezie u Mery.

— Suka — szepnąłem, pochylając się nad ławką.

— Jakiej rasy? — odpowiedziała takim tonem, jakby naprawdę była zadowolona.

Podczas gdy inne dziewczyny były bekisy, tej królowej lodu nie dało się doprowadzić do płaczu. Robot z telezakupów Mango, perfekcyjnie zaprojektowany do wytrącania mnie z równowagi.

— Co? Eee... — Potrzebowałem chwili, żeby wymyślić odpowiedź. — Rasowej!

— Akita, jełopie — odpowiedziała. — Doucz się.

Nie wiedziałem, co to akita inu ani czy w ogóle zrozumiała, że to *suka* było o niej. W jej nadętej główce wszyscy traktowali ją jak bóstwo, więc być może nie odczytała słowa *suka* jako obelgi. Na szczęście niezależnie od tego, co twierdziła, uważała czy mówiła, na wszystko dało się znaleźć odpowiedź.

— Twoją starą jebią psy — oświadczyłem.

— Cisza! — krzyknęła nauczycielka. — Elwira, Maksymilian! Co wy tam szepczecie, gołąbki? Może się podzielicie z nami?

Wszystkie oczy na nas.

— Rozmawiamy o rasach psów, proszę pani — odpowiedziała Ela.

Rączki przed sobą, nóżki razem, oczka na tablicę. Taka grzeczna.

— To przestańcie. Lekcja jest o płazach.

Nauczycielka wróciła do tablicy i do wypisywania różnic między jakimiś zwierzętami, które według mnie były identyczne, a to dlatego, że zwykle widywałem je rozjechane na asfalcie.

Elka odchyliła się na krześle.

— Jesteś płazem zaklętym w płaza — powiedziała półgębkiem.

— Chyba ty — mruknąłem, pochylając się nad ławką w jej stronę. Gruby, który siedział obok, prychnął śmiechem, ale chyba nie na moją, tylko na jej odzywkę. Co za zdrajca.

— Dzieciaki! Będzie uwaga! — krzyknęła nauczycielka i w ten sposób przerwała naszą przepychankę, nim zdążyłem wymyślić dostatecznie obraźliwy tekst.

Opadłem na krzesło. Oderwałem kawałek kartki, zwinąłem w kulkę i rzuciłem w plecy Elki. A potem kontynuowałem przez resztę lekcji, aż jej błyszczące kilometrowe kłaki były upstrzone tym śmieciowym konfetti.

Tylko raz poczułem, że przegiąłem.

To było na sam koniec szóstej klasy podstawówki.

Ela przyszła na zakończenie roku ubrana jak brytyjska guwernantka. Kraciaste podkolanówki, spódniczka, co prawda mini, ale co z tego, skoro plisowana i szara jak zdechła ryba, plus żakiecik i koszulka z kołnierzykiem. Wyprasowanym.

A do tego czerwone trampki z gwiazdką Converse, że niby taka wyluzowana. Wszyscy wiedzieli, że żeby mieć takie buty, trzeba przez tydzień siedzieć na sortowni po dziesięć godzin. Zamiast takich butów wybrałbym jedzenie na miesiąc albobym sobie doładował telefon na rok.

Wgapiałem się w nią i odraza w moim wzroku mieszała się z niedowierzaniem, że *taka* dziewczyna chodzi po ziemi. Miała nową fryzurę, bo oczywiście musiała się na tę *okazję* odpicować. Włosy krótsze, do ramion, ale przystrzyżone po skosie. Może fryzjer był pijany i dlatego tak ją opitolił? Było w tych jej nowych, krótszych włosach coś onieśmielającego. Jakby skonstruowała maszynę do podróży w czasie, przeniosła się do momentu, kiedy ma osiemnaście, dwadzieścia cztery, trzydzieści lat, ujrzała starszą siebie, podpatrzyła

swój wyrobiony styl, dostrzegła cel, do którego zmierza, po czym wróciła do chwili obecnej uzbrojona w wiedzę, kim jest i jaka jest.

Siedzieliśmy w klasie i słuchaliśmy nudów o tym, jak bardzo wychowawczyni jest z nas dumna. Było nas w klasie trzydziestu, czwórka kolegów będzie kiblować, średnia reszty to doprawdy imponujące 3,2. Na miejscu wychowawczyni nie widziałbym powodu do dumy.

Jak zwykle usiadłem za Elą.

— Wyglądasz jak tania dziwka — szepnąłem.

Nie odpowiedziała, ale na pewno usłyszała.

— Nie mogę znieść myśli, że po wakacjach znowu zobaczę twój ryj — dodałem, kiedy stało się jasne, że nie planuje odpowiedzieć. Dalej milczała. — Brzydzę się tobą.

Milczenie. Nie było takich słów, które by ją wytrąciły z równowagi.

Kiedy się skończyło ostatnie spotkanie podsumowujące („Gratuluję wszystkim absolwentom, jesteście już tacy dorośli, będę za wami tęsknić” — co za ściema), wszyscy się rozeszli. Patrzyłem kątem oka na Elę. Zamiast wyjść na dwór z tłumem, podążyła w odwrotnym kierunku, piętro wyżej. Znałem ją na tyle, by wiedzieć, że idzie do najmniej uczęszczanej łazienki w szkole. Tak jest: ona nie mogła się zniżyć do tego, by korzystać z tego samego kibla co reszta dziewczyn.

Poszedłem za nią. Chciałem ją nastraszyć. Zobaczyć chociaż raz w życiu, że się boi. Że jej tatuś w garniturze nie wyjrzy z okna i nie spojrzy na mnie krzywo. Że jej mamusia w garsonce nie pokręci na mnie paluszkami.

Elka weszła do środka. Zamknęła za sobą drzwi.

Miałem ją.

W przeszłości już kilkakrotnie zapędziłem ją w kozi róg. O ile był to parter, pokazywała mi środkowy palec i spokojnie wyskakiwała przez okno na trawnik, poprawiała ostentacyjnie spódniczkę

i odchodziła, jakby pobierała prywatne księżniczkowe lekcje wyskakiwania przez okno z gracją.

Nie tym razem. To drugie piętro — choćby skisła, nie miała jak uciec.

Wszedłem do damskiej toalety — miejsce dla chłopaków zakazane, ale w zasadzie niewiele się różniące od naszego, tak samo obskurne, z pomazanymi kabinami i wiecznie bez srajtaśmy.

— Zauważyłem, Elwiro, że się zgubiłaś — zacząłem wesołym tonem. — Pomyślałem, że ci pomogę... — Urwałem w połowie zdania. Z jednej z kabin dobiegał szloch. Kiedy wszedłem, dziewczyna wstrzymała oddech w pół chlipnięcia. Zapadła cisza tak intensywna, że aż głośna.

— Idź sobie. — Jej głos dobiegł zza zamkniętych drzwi. Musiała podkulić nogi, bo nie było widać jej stóp na połamanych kafelkach.

Nie miałem ochoty „iść sobie”. Pragnąłem stamtąd uciec — nie byłem przygotowany na płaczącą Elwirę. Ścisnęło mnie w żołądku.

— Ty... Ty płaczesz? — wydukałem.

— Nie — odpowiedziała łamiącym się głosem. — A teraz zostaw mnie w spokoju ten jeden jedyny raz.

Zapadła długa cisza. Próbowałem sobie przypomnieć, co takie dzisiaj zrobiłem, co mogło ją zmartwić. Dogryźliśmy sobie na przywitanie, w ramach uprzejmości: ona nazwała mnie chujem, ja ją dziwką, kilka osób wyśmiało ją za strój, że zrobiła księżniczka wielką rzecz z zakończenia podstawówki, jakby to jakieś święto było. Wszystko w normie, jak od lat.

Z kabiny dobiegło czknięcie, a zaraz potem niepowstrzymane chlipnięcie.

— Przeze mnie? — spytałem z niedowierzaniem.

Bo ją nazwałem tanią dziwką? Niech się przyzwyczaja. Chłopaki tak gadają za jej plecami. Mówiliby jeszcze paskudniej, ale żeśmy dopiero podłapywali słownictwo od starszaków. *Kurwa do wyjebania*

to może nieco za mocne słowa. Ale *tania dziwka*? Gładko się wymawia.

No naprawdę, przesadzała. Pati na takie słowa się ucieszyła. *Dziwka* znaczy, że przyciąga uwagę. *Tania* znaczy, że rzucam jej wyzwanie. Przecież to komplement.

— Nie przez ciebie, jełopie — odezwała się z kabiny. Głosik miała na powrót dziarski. — Mam trójkę z polskiego na świadectwie. A teraz zjeżdżaj.

Podszedłem do kabiny obok i stanąłem na kiblu.

— Co robisz? — spytała, gdy usłyszała skrzyknięcie deski klozetowej.

— Zaglądam — odpowiedziałem i zerknąłem na nią z góry. Myślałem, że nie nałożyła makijażu, ale teraz pod oczami miała dwie czarne plamy. — Wyglądasz jak bardzo brzydka panda.

Łypnęła na mnie groźnie.

— Idź stąd, Maks. To toaleta dziewczyn.

— Ale ty też nie jesteś dziewczyną — odpowiedziałem wesoło. — Jesteś głupią suką. Nie obrażaj swoją osobą dziewczyn.

Odwróciła wzrok i wbiła rozmazane oczęta w drzwi łazienki.

— Mam gaz pieprzowy — powiedziała.

Drzwi musiały się jej w tym momencie bardzo przestraszyć.

— Jak sobie zaraz stąd nie pójdziesz, użyję go — zagroziła.

Zaśmiałem się. Ile razy słyszałem ten tekst o gazie? Przynajmniej raz w tygodniu od kilku lat, czyli na szybko licząc... Pff, nie chce mi się obliczać. Bardzo, bardzo dużo razy.

— Akurat — prychnąłem. — Już to widzę. Kiciara z ciebie.

— Maks. Proszę.

— Błagaj.

— Raz jeden daj mi spokój, dobra?

— Powiedz, że mnie błagasz, to może sobie pójde — powiedziałem, wciąż gapiąc się na nią z góry. Uśmiechałem się z wyuczoną

złośliwością, ale było mi cholernie źle tutaj, w zakazanej dziewczynskiej strefie, nad Elką, którą pierwszy raz widziałem rozklejoną.

Ale serio? Trója na świadectwie? Jak ja miałem tróję, to się cieszyłem. Każdy normalny dzieciak się cieszył.

— Trója to nie jest zła ocena, wiesz? — powiedziałem, kiedy wciąż wgapiła się w drzwi bez słowa. — Tylko takie świruski jak ty mogą to uważać za złą ocenę.

— Idź sobie — powiedziała rozkazującym tonem, który nie pasował do rozmazanych plam tuszu pod oczami.

Boże, tak bardzo chciałem sobie iść. Nie chciałem jej widzieć płaczącej. Chciałem jej dosrywać i nie czuć się z tym źle.

Ela była zawsze równym przeciwnikiem. Była moim odbiciem lustrzanym — identycznym, a jednak odwrotnym. Wyczuwałem ją w kościach, pod skórą. Wiedziałem, że jeśli teraz stąd po prostu wyjdę, to będzie zadzierać nosa jeszcze bardziej, a ja spędzę kolejne trzy lata doprowadzany przez nią do szału. Wyczuwała moją słabość jak pies. Jak suka.

— Błagam — powtórzyłem.

Wzięła głęboki, rwany wdech, po czym jeszcze jeden, spokojniejszy.

— Błagam — powiedziała tak, jakby to nic nie znaczyło.

No po prostu, do cholery, NIE. Musiałem z nią wygrać choć jeden pieprzony raz. Dobra, słabo, że płakała, ale chociaż wreszcie miałem jakąś przewagę. Toż to był dar od Boga ze specjalną dedykacją dla mnie.

— O nie, nie. — Zaśmiałem się. — Spójrz na mnie i błagam *naprawdę*. Powiedz, że jestem lepszy, a ty jesteś tanią dziwką, co... hm... — Potrzebowałem czegoś mocnego. — O, wiem. Co lubissać fiuty. Powtórz to i wtedy dopiero błagam.

Czekałem na jej reakcję. Żadnej innej dziewczyny bym do czegoś takiego nie zmusił. Starzy by się mnie wyrzekli, gdyby się dowiedzieli,

a brat by mnie zajebał. To znaczy powiedziałyby: „Ej, młody, przesadzasz”. Może dałby mi po nosie. Powiedziałyby: „Kurwa, to jeszcze dziecko, cycków nawet nie ma. Sam jesteś głupi smarkacz. Co ty do niej z takimi tekstami wyjeżdżasz?”.

Ale już to powiedziałem. Było mi jednocześnie bardzo źle i zajebiście dobrze. Głupie mieszcuchy spod dwójki. Głupia, nadęta Elwira. Co to w ogóle za imię?

Elka oderwała wzrok od drzwi i przeniosła go na mnie. Posąg pozbawiony emocji — co ja mówiłem? Że się źle czułem, dogadując jej? W tym momencie opuściły mnie resztki wątpliwości. Niewzruszona królowa lodu.

— Jesteś lepszy — powiedziała, dokładnie artykułując każde słowo. — Jestem tanią dziwką. Lubię ssać fiuty. Błagam cię. Wyjdź z toalety dla dziewczyn i zostaw mnie w spokoju.

— Skoro tak stawiasz sprawę — stwierdziłem. — Nie mam ochoty przebywać z tanimi dziwkami. I to jeszcze z takimi, które się źle uczą — dodałem, zszedłem z kibla i opuściłem budynek szkoły podstawowej raz na zawsze.

Elwiry nie zobaczyłem ani razu w wakacje, a potem nie pojawiła się w gimnazjum. Rozeszła się fama, że poszła do szkoły z internatem. Inni mówili, że rodzice wysłali ją do Anglii, do szkoły dla bogatych arystokratów. Wyszło jednak na to, że zaczęli ją wozić do gimnazjum w mieście, trzydzieści kilometrów dalej. Na wsi też jej nie widziałem, chociaż w jej oknie codziennie paliło się światło. Czasem dostrzegałem tam jej cień.

Ela

Ludzki mózg ma taką przydatną funkcję, że zacierza większość przykrych wspomnień. Tak też było ze mną, dzięki czemu nie pamiętałam większości mojego dzieciństwa.

Nieodłącznie towarzyszył mi strach. Bałam się wszystkich osób z naszej wsi, może poza panią sklepikarką, która zawsze była dla mnie miła. Ale co z tego, skoro żeby do niej dotrzeć, musiałam przejść przez całą wieś?

Chodziłam z gazem pieprzowym, odkąd skończyłam siedem lat. Moje palce odruchowo odnajdywały go w kieszeni, gdy tylko na ulicy zobaczyłam kogoś z chłopców. Rodzice kupili mi ten gaz na zdziczałe psy krążące po okolicy. Dla mnie on nigdy nie był na psy, tylko na Maksa i jego kolegów. Rodzice wiedzieli co prawda, że boję się ludzi, ale zdawali się nie zauważać, co konkretnie dzieje się między mną a moimi rówieśnikami.

Nie zwierzałam się rodzicom ze szczegółów, ze słów, które padały pod moim adresem. Bałam się, że kiedy o tym powiem, moi prześladowcy mnie zabiją. Albo zrobią coś jeszcze gorszego — zrealizują wszystkie groźby, na przykład te o jęczeniu.

Nikt nie lubi kapusiów. Nie mogłam być donosicielką, jeśli chciałam przeżyć.

Czasem przychodziłam do domu po szkole i po prostu płakałam. Mama siadała koło mnie w salonie z herbatą i kocem i mnie przytulała.

— Nie zniżaj się do ich poziomu — mówiła. — Nie daj im tej satysfakcji. Jesteś od nich mądrzejsza. Jesteś silną dziewczynką. Co się przejmujesz jakimiś chłopcami? Pójdiesz na studia, znajdziesz

dobrą pracę, a oni tutaj zostaną. Poza tym to tylko chłopcy. Gadają głupoty.

Nie powiedziałam jej, że pierwszy raz zostałam nazwana suką w wieku pięciu lat, jeszcze w przedszkolu. Pamiętam to jak dziś. Poczulałam się brudna i dotknięta, *dosłownie* dotknięta. A przecież to nie była prawda: nie byłam suką. Bo suka to samica psa, a psy są fajne, milutkie, można je głaskać i rzucać im patyki. W hotelu mieliśmy sukę — wabiła się Nel, była mała i kudłata i zawsze cieszyła się na mój widok. Co jest złego w byciu suką?

Mogłam tak sobie powtarzać, ale i tak wiedziałam, że „suka” to brzydkie, brudne słowo.

Z czasem było coraz gorzej. Na końcu wsi mieszkało małżeństwo, które ciągle obrzucało się obelgami, a najbardziej na początku miesiąca, zaraz po wypłacie, bo wtedy oboje pili na umór. Cała wieś słyszała ich kłótnie. I kiedy facet wrzeszczał do swojej kobiety, że ta jest grubą świnią, miałam sto procent pewności, że następnego dnia jeden z gangu drugoklasistów postara się, by usiąść w ławce za mną i mnie poinformować, że też jestem tłustym wieprzem jak tamta kobieta.

Co mi pozostawało? Robić to, co powiedziała mama: ignorować i być silną. Więc ignorowałam lub odpowiadałam w takim samym stylu, w jakim gadają harde chłopaki i harde dziewczyny, które nie dają wchodzić sobie na głowę:

— Spierdalaj, Maks.

Pierwszy raz zaczęłam wymiotować w piątej klasie podstawówki. Miałam jedenaście lat. Zatrulałam się naleśnikami i przez trzy dni chorowałam. Potem do końca tygodnia jadłam kleik ryżowy i suche tosty. Po tym wszystkim byłam zmęczona, ale nogi same mnie niosły. Nie potrzebowałam już gazu pieprzowego, bo byłam lekka i czu-

łam: gdy będzie trzeba, to rozłożę skrzydła, złapię wiatr w pióra i odfrunę.

Od tamtej pory, gdy przestawałam panować nad lękiem, szłam do toalety i zwracałam wszystko, co miałam w żołądku.

Naprawdę starałam się trzymać w garści. Mieć doskonałe oceny. Udawać, że podoba mi się na wsi, że doceniam szlaki turystyczne i bliskość natury. Chodziłam na dodatkowy angielski, na korepetycje, taniec, wcześniej na balet. Na tych zajęciach dzieci były dla mnie miłe.

Potem wracałam do szkoły na pole bitewne. Unosiłam pięści w gardzie, a kiedy mogłam na chwilę odpuścić, szłam do rzadko używanej łazienki na drugim piętrze i jeśli tylko żadna dziewczyna tam nie paliła, wymiotowałam tak długo, aż poczułam się lekka i wolna jak ptak.

Sytuacja pod kontrolą.

To był ostatni dzień szkoły podstawowej. Wszyscy w klasie powtarzali te same słowa: że to fakt bez znaczenia, że zaraz miną dwa miesiące i nic się w naszym życiu nie zmieni poza budynkiem, w którym odbywały się lekcje. Być może, dodawałam do uczniowskiej mantry swoją myśl, w nowym budynku nie będzie nieużywanej toalety. Ale to nie szkodzi. Umiałam już tak wymiotować, by robić to cicho, bez krztuszenia się.

Było coraz gorzej, szczególnie od kilku miesięcy, gdy już nie tylko Maks, ale nawet koleżanki zaczęły mnie wyśmiewać. Przestałam chodzić na urodziny. Nie wiedziałam, jak wytrzymam kolejne lata szkoły. Wiedziałam tylko, że muszę się teraz wypłakać, zwrócić śniadanie i odczekać kwadrans, żeby rodzice nie zauważyli, że coś jest ze mną nie tak.

Gdybym tylko wiedziała, że Maks pójdzie za mną.

Był za wysoki i za chudy. Chodził w podziurawionych dresach, które nie zmieniały się niezależnie od pory roku — zawsze te same trzy paski, dowód jego przynależności do dresiarzkiego świata. Rechotał głupkowato z kumplami, żłopał piwo na każdym skwerku, przystanku i murku w okolicy. Jego głos się zmieniał, robił się głęboki i tak bardzo nie pasował do patykowatej postaci. Wyglądał jak Slender Man z wielkim, kanciastym jabłkiem Adama.

Znalazłam się z nim sam na sam w toalecie. Szkoła była już opustoszała. Miałam nową torebkę. Nie przepakowałam do niej gazu. Więc się poddałam. Powiedziałam wszystko, czego sobie zażyczyły: że jestem tanią dziwką, że jest ode mnie lepszy, że lubię ssać fiuty i błagam go, by sobie poszedł.

Nie mogłam pojąć, jak to się stało, że moje słowa zadziałały. Wyszedł z bocznej kabiny, trzasnął drzwiami i już go nie było.

Wyjrzałam na korytarz. Pusto.

Od późnoczerwcowego zaduchu zapowiadającego falę upałów robiło mi się słabo. Do tego drugi dzień okresu, do którego jeszcze nie zdążyłam się przyzwyczać, bo zaczęłam miesiączkować ledwo pół roku temu.

Tak bardzo źle. Wszystko niedobrze. Jak ja mogłam to powiedzieć... Słowa odbijały się echem w mojej głowie. Powiedziałam coś tak obrzydliwego, a do tego słowa usłyszał *ten* chłopak.

Wysłałam rodzicom SMS-a, żeby przyjechali za kwadrans. Wróciłam do toalety. Zwymiotowałam swoje własne słowa. Śmierdziały.

Musiałam być silna, tak jak mówiła mama.

Przez wstyd i strach przebiła się złość. Nie byłam silna! Miałam ledwo trzynaście lat.

Opadłam na klapę sedesu. Otworzyłam cekinową torebkę. Wyciągnęłam chusteczki, by otrzeć łzy, rozmazaną maskarę i ślinę z kącików warg.

Potem mój wzrok padł na klucze.

Wyjęłam je. Zważyłam w dłoni. Były ciężkie.

Jeden, ten najmniejszy, był cieńszy i ostrzej zakończony.

A gdyby tak...

To było zakazane. Tego nie wolno było robić. To by była tajemnica. Kawałek wykreowanego przeze mnie świata, nad którym mam panowanie.

Przytknęłam klucz do skóry nadgarstka. Na próbę przeciągnęłam, by zobaczyć, jak się czuję z tym gestem. Klucz pozostawił zaczerwienienie. Nie byłabym w stanie za jednym razem przeciąć tym skóry. To był tylko tępy klucz od skrzynki na listy. Przeciągnęłam raz jeszcze i jeszcze, i jeszcze.

Moment. Rodzice mogą to zobaczyć. Chodziłam na tenis i miałam frotki, ale wolałam nie ryzykować.

Podwinęłam spódniczkę i przytknęłam klucz do wnętrza uda. Wnętrze ud dziewczyn służy do krwawienia. Tutaj było dobre miejsce.

Przeciągnęłam kluczem raz i drugi, i trzeci. Powtarzałam tak długo, aż zaczerwienienie zmieniło się w zdartą skórę, a spod zdartej skóry wypłynęły pierwsze kropelki. Patrzyłam na nie z niedowierzaniem. Zrobiłam to.

Po pierwszym strachu, że robię coś, czego robić nie powinnam, przyszedł spokój znacznie silniejszy niż po wymiotach. Jakby ktoś przeniósł mnie do emocjonalnego checkpointu, gdzie zaczynałam wszystko od nowa. W tym punkcie wszystko było dobrze, a ja byłam silna, wolna i niewzruszona. Byłam superbohaterką, a to był tylko fragment mojej historii. Mój film. Jako soundtrack — utwór *The Greatest Sii*. Przetrwaj ten, kto silny, a blizna mnie pobłogosławi. Gorsze rzeczy dzieją się na świecie i większe są tragedie od twojego strachu, Ela.

Telefon zawibrował. Tata czekał pod szkołą.

W tamtej chwili, kiedy patrzyłam na wypływające z rany czerwone kropelki, nagle doznałam olśnienia. Jakby mój mózg, pozbywszy się

na chwilę kortyzolu z ciała, postanowił się odblokować, a wszystkie problemy zrobiły „klik!” i sprawnie wskoczyły na wzorec swych rozwiązań.

Przetaarłam skórę chusteczką, poprawiłam spódniczkę, schowałam klucze do torebki i wyszłam z pustej szkoły. Tata już na mnie czekał na parkingu. Auto jak zwykle na włączonym silniku. W tym nigdy niewyłączanym silniku widziałam pośpiech i uporczywe zajmowanie czymś myśli, nawet gdy akurat puszczał tak chillowe kawałki, jak obecne *Dancing in the Moonlight*. Kiedy przez ostatnie sześć lat wychodziłam z tej szkoły, nigdy na mnie nie spojrział ani mi nie zamachał, jak to bywa na amerykańskich filmach. Przeglądał płyty albo odpowiadał na e-maile w telefonie.

Nie powinnam na tatę narzekać — zrugalam samą siebie. W końcu to jemu zawdzięczałam ratunek przed szkolnymi autobusami, no i nigdy nie narobił mi wstydu, przykładowo krzycząc na całe szkolne podwórko, że mnie kocha. Mama Mery kiedyś tak zrobiła, szkoła długo nie mogła jej tego zapomnieć.

— Tato... — zaczęłam, gdy już zapięłam pasy bezpieczeństwa naszego range rovera.

— Tak, córeczko? — Ojciec dopiero teraz spojrział na mnie znad pudełka na płyty.

Popołudniowe słońce oślepiało, nad autem przelatywały wróble, a ja wiedziałam już, że klucze na udzie nie są rozwiązaniem. Rozwiązanie jest zupełnie inne.

— Chcę przejść na nauczanie domowe — oświadczyłam.

Tata spojrział na mnie nieco zdziwiony, po czym pokiwał głową i powiedział:

— Dobrze.

Rodzice zrobili burzę mózgów i uznali, że ostatnio im się lepiej powodzi, więc stać ich, aby zainwestować w moją edukację. Na trzy lata gimnazjum i jedną klasę liceum przeszłam na nauczanie indy-

widualne. Trzy razy w tygodniu jeździłam do większego miasta na szereg zajęć dodatkowych: korepetycje, francuski, taniec, tenis i zajęcia plastyczne. Lubiłam sport i malowanie, chociaż nigdy nie byłabym w stanie doścignąć mojej kuzynki Łucji, która urodziła się z pędzelkiem w dłoni.

Ku mojej uldze rodzice zgadzali się na wszystkie wyjazdy, jakie tylko przyszły mi do głowy. Odwiedzałam rodzinę ojca w górach, wakacje spędzałam na obozach i koloniach albo wyjeżdżałam do cioci w Warszawie. Ciocia i Łucja mieszkały w małym, przytulnym mieszkaniu pełnym mebli z Ikei.

Lucy nawet nie wiedziała, jakie ma szczęście, że pochodzi z miasta pełnego możliwości. Ludzie robili tam tyle dziwnych rzeczy, których sama nigdy bym nie wymyśliła. Jedna z koleżanek Lucy tworzyła ogrody w słoikach, inna wygrywała konkursy projektanczkie. Lucy miała też kolegę, który należał do teatru jeżdżącego z występami po całej Polsce. Tyle się działo!

Znacie ten teledysk Avicii *Wake Me Up*?

Bo on jest o mnie.

Nie było idealnie, bo jednak większość czasu musiałam spędzać we własnym pokoju. Rodzicom mówiłam, zgodnie z prawdą, że lubię się uczyć i dlatego tak rzadko wychodzę. Czytałam, siedziałam w internecie, ćwiczyłam. Gadałam z kuzynką i jej koleżankami na czacie, oglądałam Netfliksa i sprawdzałam, czy da się przeskrolować Instagram do końca. Czasem pomagałam w hotelu i stajni.

Jednak po roku wydarzyło się nieszczęście. Kiedy byłam w drugiej klasie gimnazjum, rodzice zatrudnili w hotelu Maksymiliana. Mówiłam im, że nie chcę mieć z nim nic do czynienia, ale oni powtarzali, że rodzina Maksa ma problemy finansowe.

— Ela, ale ty jesteś wredna dla tego biednego chłopaka — powiedziała mama, kiedy rozpakowywałyśmy siatki z zakupami. Od tygodnia zdwoiłam wysiłki: wykonywałam wszystkie prace w domu,

sprzątałam każdy okruszek, pomagałam w apartamentach. Za wszelką cenę chciałam pokazać, że nie potrzebujemy dodatkowego pracownika.

— Jego rodzina ledwo wiąże koniec z końcem — kontynuowała. — Matka na rencie, ojciec zadłużony, Adrian pracuje i Maksymilian też musi. Pomaga utrzymywać rodzinę, a ty jak się zachowujesz? Jesteś niewdzięczna, no naprawdę. Mrozonki od razu do lodówki.

— Ale mamo... — zaczęłam, lecz mi przerwała.

— Nie ma żadnego „ale”, bo nie ma znaczenia, kogo bym zatrudniła! — Uniosła głos w zniecierpliwieniu, robiąc w szafce miejsce na makarony. — I tak by ci się nie podobało.

— To nie jest prawda... — broniłam się.

Obróciła się przez ramię i spojrzała na mnie z wymownym powątpiewaniem.

— Nie? Pozwoliliśmy ci na naukę w domu i wozimy cię na wszystkie zajęcia, ale czasem naprawdę przesadzasz.

Pierwszy raz zrobiła mi wyrzut, a przecież sami się na to zgodzili — i jeszcze mi przyklasnęli! Nie zmusiłam ich do tego, a indywidualne nauczanie było jedyną możliwością, bym przetrwała! Żywa!

To był pierwszy raz, kiedy pomyślałam, że moi rodzice mnie nie rozumieją. Pojawił się niepokój, że nie obronią mnie przed światem, bo nie dostrzegą w nim tego, co mnie krzywdzi.

Mama krzątała się po kuchni i nawet na mnie nie spojrzała.

— Z nikim się nie spotykasz — ciągnęła. — Z nikim nie rozmawiasz, nawet z tą dziewczynką spod farmy, z którą kiedyś chodziłyście na spacer, na plażę. Teraz jej nawet „cześć” nie powiesz.

Pati była w porządku, kiedy miała dziesięć lat, a potem urosły jej piersi i sprowadziła do nich całe swoje ja. To prawda, nie rozmawiałam z Pati, ale wiedziałam, że nosi podwójne D, że lewego cycka ma trochę większego, ale nie szkodzi, bo używa wkładki, że dostała

od chłopaka wisiorek, który idealnie włązi jej w rowek między pierśmi, i że tego chłopaka doprowadziła do orgazmu, trzymając jego penisa właśnie tam, gdzie ma wisiorek. Wiedziałam to wszystko, bo wiedzieli to wszyscy, także ci, którzy nie chcieli mieć kontaktu z Pati.

A przecież ta dziewczyna była szalenie inteligentna. Pasjonowała się fizyką i robotyką. Więc w jaki sposób miałybyśmy razem spędzać czas? Wzajemnie wstrzykiwać sobie kradziony botoks, plotkując o najnowszych podzespołach łożników marsjańskich? Na pierwsze byłam za mądra, a na drugie za głupia.

Mama zaczęła szykować obiad. Odruchowo wzięłam się za skrobanie ziemniaków, a ona dalej mówiła.

— Raz na dwa tygodnie jeździmy na Zalaski. — W Zalaskach mieszkała rodzina artystów rzeźbiarzy, którzy tak jak my mieli konie. Ich syn kiedyś ćwiczył u tego samego trenera co ja, nim trener przeniósł się na Pomorze. — Nigdy ich z nami nie odwiedzasz.

— Tak jakoś wychodzi... — mruknęłam.

Tak jakoś wychodzi, bo Tomek przeniósł się do mojej podstawówki w trzeciej klasie i natychmiast dołączył do gangu Maksymiliana, z którym i tak trzymał od dzieciństwa. Tomkowi zawdzięczałam wszelkie żarty o mojej miłości do wielkich ogierów (tu wstawcie obowiązkowy rechot), wszystkie pytania, czy umówimy się na ujeżdżanie i czy nie chciałabym zobaczyć prawdziwego konia.

— A mamie Maksymiliana nigdy nie powiesz „dzień dobry” — skończyła wywód moja matka.

W tym momencie poczułam się w obowiązku zaprotestować. Ten zarzut był technicznie bezzasadny.

— Nigdy nie widuję mamy Maksymiliana — powiedziałam. — Więc jak bym miała się z nią witać?

— Bo mogłabyś czasem odwiedzić sąsiadów! Naprzeciwko ciebie mieszka schorowana kobieta na rencie inwalidzkiej. Zapytałabyś czasem, czy nie potrzebuje czegoś ze sklepu.

— Ona ma dwóch synów! Adrian jest dorosły! — Odłożyłam ziemniaka, żeby nim nie cisnąć we własną matkę. — Nie będę chodzić do sąsiadów z pytaniem, czy nie chcą zakupów! — Już to widzę, jak dzwonię do ich furtki i oferuję kupienie mąki. Moja mama żyła w świecie źle napisanej, niezręcznej fikcji. — No naprawdę, mamo...

— Nie tym tonem, Elwiro — ucięła. — Co to za zachowanie? Przechodzisz bunt nastoletni?

— Jaki... Jaki znowu bunt... — sapnęłam.

Każdy słyszał o buntujących się nastolatkach. Zawsze czułam dumę z tego, że nie należę do dzieciaków z marginesu społecznego, które nie umieją się zachowywać odpowiedzialnie i dorośle. Ale teraz zaczynałam podejrzewać, że ten cały „bunt” został wymyślony przez dorosłych zajętych swoimi sprawami i zdziwionych, że ich córki nie chcą mieć kontaktu z dręczycielami każącymi im mówić, że lubią ssać fiuty. Jeśli to miał być u mnie początek buntu nastolatka, to, do cholery, byłam gotowa zamienić bunt w wojnę.

Tymczasem mama zaniósła resztę zakupów do schowka i zostawiła mnie w kuchni samą z kartoflami oraz faktem dokonanym: Maks będzie teraz miał prawo regularnego wstępu na teren hotelu. Jak to dobrze, że chociaż nasz dom i apartamenty to były oddzielne budynki.

Zatrudnili go na czarno, bo miał ledwo czternaście lat. Kosił trawnik, odmalowywał płoty, sprzątał na zapleczu, pilnował, by psy miały wodę w miskach, a zimą odśnieżał i pomagał w drobnych naprawach. Nie wierzyłam, że moi rodzice naprawdę polubili tego chłopaka, jakby skrycie marzyli o synu parobku.

Prędko nauczyłam się, kiedy przychodzi Maks — wiadomo, że zazwyczaj po szkole — i wychodziłam z domu tylko przed godziną czternastą. Potem się uczyłam.

— Wolę się uczyć po południu i wieczorem, bo wtedy jestem najbardziej skupiona — mówiłam rodzicom, żeby nie próbowali

mnie wyciągnąć z pokoju. — Poza tym wtedy jest już ciemno i nie mam co robić na dworze.

— Na dworze, Elwiro. — Mama poprawiła mnie od razu. — Mówi się: *na dworze*, nie *na dworzu*.

— Wszystko jedno...

— Wiesz, że nie wszystko jedno — powiedziała mama. — Po takich drobiazgach rozpoznaje się, co ludzie sobą reprezentują.

Czyli ja byłam fe, kiedy mówiłam „na dworzu”, a Maks mówiący „eee, yyy, ta jest, psze pani, ja cie, ale!” był całkowicie w porządku.

— Przepraszam. *Na dworze* — powtórzyłam jak echo.

Czasem patrzyłam przez okno na Maksa, jak kręci się po naszej posiadłości, pomaga w przenoszeniu mebli, kosi trawnik, prowadzi ciągnik.

Zmieniliśmy się oboje. Ja nie byłam już takim patykowatym przecinkiem jak w podstawówce, a on na moich oczach z chłopca stawał się młodym mężczyzną. Dorosłam do solidnych stu sześćdziesięciu ośmiu centymetrów i choć Maks wciąż był strasznie wysoki, to różnica między nami zmalała. Nie mogłam go jednak dogonić w kwestii masy mięśniowej. Pomagał w żniwach, grał w piłkę i z tego, co się dało zauważyć, musiał ćwiczyć na spręcie swojego starszego brata, Adriana.

Adrian stanowił zupełne przeciwieństwo Maksa z wyglądu — ogolony na łyso byk na sterydach. Świecił się od ortalionu i hołdował przekonaniu, że ubranie bez trzech pasków to nie ubranie — od razu było widać, na kim Maks się wzorował. Z drugiej strony chociaż Adrian wyglądał znacznie groźniej od młodszego Maksa, nigdy nie powiedział na mnie złego słowa. Zdarzało się nawet, że stawał w mojej obronie. Wystarczało, że słychać było warkot jego motoru, a Maks zostawiał mnie w spokoju.

Teraz nie miałam już sąsiada obrońcy. Adrian wyjechał do Holandii i zostawił Maksa samego z półprofesjonalną siłownią, by mój

dreńcytel stawał się jeszcze większy i jeszcze straszniejszy. Nie to jednak było najgorsze. Najgorsze przydarzyło się na etapie pierwszej klasy liceum.

Była zima, minus dziesięć stopni. Ciemności za oknem rozświetlały lampki choinkowe i latarnie. Za trzy miesiące miałam zdawać testy sprawdzające, jak radzę sobie z samodzielną nauką przedmiotów rozszerzonych. Pani pedagog na początku roku doradziła mi, bym wybrała te przedmioty, które lubię. Uśmiechnęłam się i obiecałam, że się zastanowię. Prawda była jednak przykra: nie miałam pojęcia, które przedmioty lubię. Nigdy nie miałam czasu się zastanowić, co mi się podoba, bo przecież ze wszystkiego musiałam być przynajmniej dobra. W końcu wybrałam pełen faktów profil biologiczno-chemiczny. Matematykę też lubiłam, ponieważ była chłodnym opisem podstaw świata.

Podstawy mojego świata właśnie miały legnąć w gruzach.

— Elwiro, musimy ci coś powiedzieć. — Mama wezwała mnie do salonu, gdzie już siedział mój ojciec i łupał orzechy. Usiadła na kanapie i splotła dłonie na kolanach. Wyglądała tak poważnie, jakby to była rozmowa kwalifikacyjna.

Nie, moment. Nie rozmowa kwalifikacyjna. Miała minę, jakby zamierzała wręczyć pracownikowi wypowiedzenie.

— Podliczyliśmy z ojcem pieniądze — podjęła wątek. — I obawiam się, że będziesz musiała pójść do publicznego liceum.

Krew odpłynęła mi z twarzy.

— Do liceum? — powtórzyłam jak echo.

To nie tak, że nie mogłam w to uwierzyć. To było jak nieumiejętne walnięcie obuchem prosiaka, który nie stracił przytomności. To było natychmiastowe zaakceptowanie nadchodzącego zagrożenia oraz gorączkowa próba znalezienia rozwiązania. Rozumiałam, że rodzice chcą mnie wysłać do zwykłej szkoły, ale nie mogłam pozwolić, by to się wydarzyło *naprawdę*.

Zacisnęłam pięści. Paznokcie wbiły się w skórę wnętrza moich dłoni.

— Elwiro. — Tata westchnął i odłożył dziadka do orzechów. — Wciąż będziemy cię wozić na niektóre z twoich zajęć. Zrobimy tak, by było dla twojej edukacji najlepiej.

Najlepiej *dla mojej edukacji*? A nie najlepiej *dla mnie*?

— Niestety muszę wziąć dodatkową pracę — ciągnął tata. — Dostałem ofertę w nowo otwartej firmie marketingowej, co oznacza dużo zmian. Mama przejmie większość obowiązków w hotelu.

— No to chyba lepiej, żebym była w domu? Pomogę — zapisałam.

Traciłam grunt pod nogami. Rodzice już przegadali tę sprawę, od jakiegoś czasu planowali najbliższe lata mojego życia i nie włączyli mnie do tych uzgodnień. Wykluczili mnie z decydowania o mojej przyszłości.

— Niestety. — Mama pokręciła głową i założyła nogę na nogę („Bardzo mi przykro, pracowniku, decyzja została podjęta”). — Nie będę w stanie ci tyle pomagać w lekcjach. Zresztą materiał licealny jest już dla nas za trudny. I tak musielibyśmy przed maturą szukać kolejnych korepetytorów, a to dodatkowe wydatki. Liceum to już nie zabawa, kochanie. Musimy mieć pewność, że dostaniesz się na najlepsze studia.

— Jak mam się dostać na najlepsze studia, chodząc do jakiegoś głupiego liceum? — spytałam.

Rodzice nie mogli być tak bezmyślni.

No właśnie, nie mogli! Nagle mnie olśniło.

— Zapiszecie mnie do liceum w Suwałkach? — spytałam. — Ach! A może w Warszawie?

Suwałki były daleko od nas, osiemdziesiąt kilometrów, ale bez przesady — to tylko półtorej godziny jazdy. Codziennie kursują autobusy. Mogłabym się podczas dojazdu uczyć, czytać lektury albo oglądać filmy.

Tata wstał, podszedł do lodówki i wyjął pudełko z serami, po czym zaczął robić grzanki, jak gdyby nigdy nic. Takie swobodne zachowanie mogłoby mnie uspokoić, ale znałam tatę. To nie była swoboda „jeszcze wszystko do uzgodnienia”, ale wręcz odwrotnie — „sprawa zamknięta”.

Czułam, jak moje złe przecucia gapią się na mnie z żyrandola i nabijają z tej naiwniaczki, co pod nimi stoi.

— Pójdiesz do tutejszego liceum — odpowiedziała mama. Wstała i dołączyła do ojca w kuchni. Nastawiła wodę na herbatę i oparła się plecami o blat. — Rozmawialiśmy już z nauczycielami.

Rozmawiali już?

— To liceum jest całkiem dobre — ciągnęła mama. — Poziom uczniów jest niski, ale nauczyciele się starają. Mają młodą kadrę i bardzo ambitną nową dyrektorę. Spodoba ci się. I będziesz mieć znowu koleżanki i kolegów.

— Maksymilian tam będzie — wyszeptalam.

— No właśnie. — Mama się ucieszyła. — Miły młody człowiek. Już wiesz, że będziesz mieć tam przyjaciela. Będziecie mogli razem odrabiać lekcje.

— Maks mnie nienawidzi. — Zrobiło mi się niedobrze. Żołądek zaciążył. Czemu zjadłam tak dużo na lunch? Makaron z cukinią był pyszny, ale czy naprawdę musiałam zjeść całą miskę ciężkich węglowodanów?

— Oj, nieprawda, że cię nienawidzi — powiedziała mama. — Kto się czubi, ten się lubi — dodała wesołym tonem i puściła mi oczko.

„Brzydzę się tobą”.

„Pierwszy zrobię ci krzywdę”.

„Nie chcę oglądać twojego ryja”.

— Mamo, to nie tak — zaoponowałam. Zaczął mnie boleć brzuch. — On się ze mną nie czubi. On się nade mną znęca.

Powiedziałam to. Pierwszy raz w swoim życiu wypowiedziałam te słowa. Spojrzałam na oboje rodziców błagalnie. Potrzebowałam ich pomocy. No dobrze, chcieli mnie wyrzucić do miejscowego liceum, ale może sprawią, że tego okropnego chłopaka nie będzie w szkole? Może się postarają, żeby go wywalili ze szkoły albo przynajmniej przenieśli? Najbliższa zawodówka mieściła się dwa razy dalej od liceum, ale takiego chłopaka jak Maks w ogóle nie powinni przyjmować do szkoły średniej. Przecież on ledwo umiał się podpisać pod mandatem.

— *Znęca się?* — Tata przełknął kęs grzanki. — O czym ty mówisz, dziecko? Co on robi?

— Mówi mi brzydkie rzeczy — powiedziałam.

Rodzice byli po mojej stronie, o to nie musiałam się martwić.

— Jakież? — zapytała mama.

— Na przykład... — zaczęłam, ale zacięłam się.

„Lubisz ssać fiuty”.

„Suka”.

„Tania dziwka”.

Nie byłam w stanie wypowiedzieć przy rodzicach takich słów.

Znów poczułam się brudna. Słowa, gdy już zostały powiedziane, zdawały się mieć w sobie coś z prawdy. Gdybym je ponownie wymówiła na głos, poczułabym, że to najprawdziwsza prawda. Jak wtedy, kiedy Maks kazał mi powtórzyć to o ssaniu. Wymiotowałam, słysząc odbijający się echem mój głos.

— Mówi, że jestem brzydka — wydukałam.

Brawo, Ela. Niedopowiedzenie roku. Mistrzostwo eufemizmów.

Mama się zaśmiała i nalała wrzątek do kubka.

— Oj, kochanie. Ty to zawsze byłaś taka wrażliwa. Herbatki?

Maks

Był ostatni tydzień wakacji. Czas smutny — zaraz szkoła — i radośny, bo niedawno skończyłem siedemnaście lat. Krok bliżej w stronę prawka jazdy. Krok bliżej w stronę kupowania alkoholu bez krzywych spojrzeń. Krok ku, ha-ha, legalnemu oglądaniu pornosów, bo w takim głupim kraju żyjemy, że seks uprawiać można od piętnastego roku życia, ale oglądać dopiero trzy lata później. Chciałbym poznać człowieka, który kiedykolwiek spojrział na komunikat „Czy masz skończone osiemnaście lat?”, pomyślał sobie: „O nie, mam tylko siedemnaście!”, po czym kliknął czerwony krzyżyk i potulnie zamknął stronę.

Leżałem na łóżku i nie robiłem nic. Brakowało mi brata, ale nie narzekałem na to, że miałem cały pokój dla siebie. Czasem trudno mi było uwierzyć, że przez tyle lat mieściliśmy się we dwóch na tych szesnastu metrach kwadratowych.

Miałem jeszcze kwadrans do wyjścia do mechanika na Dołkach, gdzie pracowałem. Co mogłem zrobić z kwadransiem? Nic, kurwa. Poza tym był upał. Nawet na pornole nie miałem siły. Czy wywalą mnie z roboty, jeśli powiem im, że złamałem nogę albo że zmarła mi trzecia babcia?

O lenistwie mogłem tylko pomarzyć — musiałem się stawić bez spóźnienia i swoje odrobić. Dzięki wypłacie czułem się jak trochę mniejszy pasożyt rodzinny.

Zadzwoił telefon. Zerknąłem na wyświetlacz i od razu się rozbudziłem. Adrian nie odzywał się już od jakiegoś czasu, a ja nie chciałem zawracać mu dupy. Bardzo dużo pracował w Rotterdamie na magazynach i jeszcze regularnie jeździł z ładunkami pod Monachium, osiem godzin drogi ciężarówką w jedną stronę.

— Joł, młody — powiedział, gdy odebrałem telefon. — Wszystkiego najlepszego.

— Dzięki — powiedziałem. — Fajnie, że pamiętałeś.

— Nooo, o braciszku nigdy bym nie zapomniał.

W tle dała się słyszeć dudniąca muzyka. Była środa, przed dwunastą.

— Wreszcie wyrwałeś dzień wolny? — spytałem, łącząc fakty.

— Nooo — znów powiedział przeciągle.

Adrian zawsze mówił leniwie, jakby nic nie miało znaczenia. Przez to wielu ludzi go źle oceniało — i nie doceniało. Gadali przy nim, co ślina na język przyniesie, i kończyli z połamanymi nosami i zębami. Przy czym Adrian nie kiwał nawet palcem — robili to za niego jego dwaj goryle, Maciek i Stefaniak.

— To co, młody? Osiemnastka, co? Była imprezka?

— Siedemnastka — poprawiłem go.

— Aaa. — Znów to jego zwodniczo uspokajające przeciągnięcie. — Siedemnastka. Ja to, młody, stale zapominam, jaki ty młody. To udała się imprezka?

— No, kurwa! — ucieszyłem się. — Cztery dni temu, a wciąż mam kaca.

— Balowało się za moje, co?

Tym razem nie miałem wątpliwości, że Adrian rzucił te słowa niepokojąco wesołym tonem. Muzyka w tle stężała, tak samo jak atmosfera.

— Nie, za moje — powiedziałem ostrożnie. — Pracuję.

— Wciąż na Dołkach?

— Wciąż na Dołkach — potwierdziłem.

— No i dobrze, młody. Na swoje trzeba mieć swoje. Ej, czekaj. — Usłyszałem w telefonie szumy i niewyraźną rozmowę na tle łubu-du.

„Na swoje trzeba mieć swoje”. Chyba już wiedziałem, kto mi zaszczerpił w głowie myśl, że trzeba tyrać w robocie każdego dnia, nie zważając na wakacje czy szkołę. Adrian stale miał jakieś fuchy,

dzięki czemu nie tylko miał na siebie, ale też dosyłał rodzicom. Gdyby nie jego pieniądze i gdyby nie moja praca odciążająca finansowo rodziców, musieliby najpewniej sprzedać część ziemi rolnej, a wtedy kredyt byłby już absolutnie niespłacalny.

Rozmowa w tle ustała i brat wrócił do telefonu.

— Pamiętasz, młody, Maćka i Stefaniaka? Wracają do kraju. Przyjdą czasem podźwigać na moim sprzącie, dobra?

— Dobra... — powiedziałem, no bo co miałem mówić. Nie uśmiechało mi się, że tych dwóch będzie się znowu pojawiać w mojej okolicy. Tęskniłem za moim bratem, nie za jego potężnymi goryłami.

Znów rozległy się szumy i usłyszałem niewyraźną rozmowę.

— E, młody, muszę kończyć — powiedział brat. — Trzymaj się tam. Raz jeszcze najlepsze życzenia z okazji osiemnastki. Dużo hajsu i pięknych dup.

Zaśmiałem się wymuszenie, podziękowałem i rozłączyłem się. Tyle czekałem, aż Adrian zadzwoni, opowie, co tam u niego słychać... A teraz pozostał niesmak.

Zerknąłem na zegarek. Czas naglił. Zwlekłem się z łóżka i zebrałem do roboty.

Jechałem w skwarze i w podłym nastroju, międląc w głowie głupią rozmowę z bratem jak ostatni smarkacz.

No i wakacje minęły. Może powinienem się na ten temat rozgadać, ale od wielu lat to, co ludzie uznawali za „wakacje”, dla mnie było równym zapieprzem. Warsztat na Dołkach, w polu z ojcem, a to przebronować, a to nawieźć, a to hektary przepisać, bo licznik dotacyjny w Unii zmienili, a jeszcze czasem wpadło coś z hotelu, matce trzeba pomóc, posiedzieć na sprzedaży, rozładować, załadować, takie wakacje.

Siedziałem w szkole już drugą godzinę, o dwie za dużo, i zastanawiałem się, czy jednak nie wolę w tym czasie rozrzucić obornika pod ozime.

Była przerwa. Oparłem się na blacie ławki i zdychałem. Spałem chyba trzy godziny, bo przez durne pszczoły opryski trzeba robić po zachodzie słońca. Gruby przeglądał głupoty w internecie. Warto tu zauważyć, że Gruby już od dawna nie był gruby. Wcielił w życie hasło „najpierw masa, potem rzeźba” i zarówno masę, jak i rzeźbę miał imponującą.

Nagle poczułem na sobie wzrok. Uniosłem głowę i...

— Ja pierdziele. Widziałeś? — Dałem kuksańca Grubemu.

W drzwiach klasy stanęła dziewczyna i szukała wzrokiem pustej ławki.

— Wow. Co ona tutaj robi? — spytał Gruby, wgapiając się w nową.

Nie było jej ani na zielonej szkole przed wakacjami, ani na rozpoczęciu roku szkolnego, ani na pierwszej lekcji — geografia była druga. Nikt nam nic nie powiedział, że dojdzie jakaś nowa „koleżanka”. Może nauczyciele założyli, że nie trzeba nam mówić, bo wszystko wiemy? Ostatecznie tutaj każdy znał każdego i plotki szybko się rozchodziły.

Akurat ta plotka nie dotarła ani do mnie, ani do kumpli. Co tylko dowodziło, jak skryci byli starzy Elwiry, że słowa nie pisnęli, a bywałem u nich raz na jakiś czas.

Kiedy miała trzynaście lat, była ostentacyjnie, niesprawiedliwie idealna. Anielska uczennica do zdeprawowania. Teraz miała siedemnaście lat i wyglądała jak... Jak...

— Ale księżniczka — powiedział Gruby. — Będziemy mieli zabawę, nie?

Nie mogłem oderwać wzroku od dziewczyny.

Widowałem ją w hotelu, ale zawsze przelotnie, nigdy z bliska.

Jasiek też ją zauważył i podszedł do nas.

— Stówka dla tego, kto ją pierwszy puknie.

Odruchowo zarechotałem wraz z Tomkiem i Jaśkiem, po czym zamilkłem. Popatrzyłem po nich. Mieli na twarzach wymalowaną dobrze mi znaną chytrą. Znałem te ich spojrzenia i lubiłem je. Dzięki tej determinacji i przebiegłości udało nam się w wakacje zwędzić na Górkach kilka rowerów turystom. Co prawda posraliśmy się ze strachu, że nas do kryminału na pół życia za to przytną, i porzuciliśmy te rowery nieopodal miejsca zbrodni, ale, cholera, była zabawa i dreszczyk emocji.

Ale teraz te ich miny mnie wkurzyły. Oni na serio planowali wejść w ten zakład? Nie przesadzali?

Przesadzali, kurwa. Są granice.

Dziewczyna wciąż stała, miętoląc kant zielonej spódniczki, po czym zauważyła wolne miejsce koło Kaśki i usiadła.

— Patrzcie, kto nas zaszczycił swą wspaniałością! — zaśmiał się Gruby. — Jejmość księżniczka Elwira!

Krótkie, ciemne włosy opadły jej na czoło. Zatknęła je za ucho i zaczęła pisać w zeszytcie, chociaż nauczyciel jeszcze nie stawiał się w klasie.

Pragnąłem, żeby była brzydsza. Żeby uczyła się gorzej. Żeby znała mniej trudnych słów. Żeby jej starzy byli biedniejsi. Żeby samochód się im popsuł (może to jest jakaś myśl, to się da załatwić). Żeby miała krzywe zęby i pryszczki.

Cokolwiek, żeby spadła do mojej ligi.

Oczywiście sposób, żeby spadła do mojej ligi, właśnie nasunął się sam. Ale akurat na ten jeden sposób nie mogłem pozwolić, bo bym się, do cholery, porzygał z obrzydzenia.

— Nie będzie zakładu — oświadczyłem. Zobaczymy, czy naprawdę chłopaki się mnie słuchali, czy też tylko mi się ubzdurało, że po bracie przejąłem pałeczkę lidera. — To moja przyjaciółka z dzieciństwa, a jej starzy dają mi robotę od czasu do czasu. Tak więc sorry, dupa wyjęta z obiegu.

— No kurwa... — zaczął Jasiak, ale posłałem mu mało przyjazne spojrzenie.

— Możecie jej dosrywać, nie obchodzi mnie to — powiedziałem. — Ale fiuty przy sobie. A ty, Gruby, masz świetną dziewczynę, więc jej pilnuj, a nie się jarasz tym... — Znów spojrzałem na Elkę. — Tym *czymś*.

Ela

Pognałam rowerem do domu i zawisłam nad muszlą toalety.

Co prawda nie było *aż tak* źle. Gapili się na mnie i obgadywali za plecami. Kasia, a potem Ewa, koło których siedziałam, były miłe, ale zdystansowane. Tylko Mery spojrzała krzywo na moją spódniczkę i spytała, czy jestem ich nową nauczycielką.

— Czemu w ogóle nosisz te głupie spódniczki? — Wytknęła palcem moją butelkową, rozkloszowaną spódnicę z najnowszej kolekcji Zary. Żaden *le dernier cri de la mode*, ale na pewno daleka od dzinsów z przesadnymi niebieskimi łatami, które miała na sobie Mery.

— Lubię spódnice. — Wzruszyłam ramionami.

— Spodni nie masz czy co? — Była w tym taka pogarda, jakbym przyszła w szlafroku.

— Nie mam — odpowiedziałam i poszłam do stołówki.

Uczniów w tej szkole nie było dużo, więc nie mieliśmy typowego podziału na klasy. Na poszczególne lekcje chodziły osoby z różnych profili. Na matematyce spróbowałam usiąść koło dziewczyny z mat.-infu, która zapamiętała bazgrała w zeszytcie. Było w niej coś z punka: ciężki makijaż, ciemny ubiór, cała płątanina łańcuchów na szyi i wokół nadgarstka. Włosy miała pofarbowane na zielono — natychmiast ochrzciłam ją w myślach mianem „Green Punky”. Może się polubimy, dwa wyrzutki. Jej pewnie też dokuczają.

— Cześć — przywitałam się i położyłam torbę z książkami na ławce. — Jestem Elwira. W skrócie Ela.

— Cześć — odpowiedziała punkowa. — Nie obchodzi mnie to.

Więc wróciłam do domu i zawisłam nad kibelem. Wpychałam szczoteczkę głęboko, gardło bolało, oczy zaszyły łzami, ale nie wy-

miotowałam. Może właśnie dlatego, że ostatecznie nie było tak źle. Mery dogryzała mi jeszcze w podstawówce, a Green Punky nie znałam, ale „milutki punk” brzmiało jak oksymoron. Ani kumple Maks, ani sam Maks otwarcie mi nie dokuczali. Może im przeszło? Może przez to, że większość zajęć mieliśmy osobno, Maks nie będzie na mnie zwracał uwagi?

Następnego dnia, w środę, miałam blok językowy z Maksem i już wymiotowałam bez problemu.

W czwartek większość zajęć miałam ze swojego profilu i na szczęście tylko na ostatnim angielskim spotkałam się ze swoim sąsiadem. Jednak te ostatnie zajęcia mu wystarczyły: wyszłam do toalety po tym, jak dostałam wydartą z zeszytu karteczkę z wykaligrafiowanym pytaniem: „Wciąż lubisz ssać fiuty?”. Wróciłam do domu i pognałam do łazienki. Potem usiadłam przy biurku, ale nie potrafiłam się zmusić do niczego konstruktywnego, więc tylko skrolowałam Instagram. Znow miałam poczucie, że mój żołądek jest za ciężki. Z ciekawości, co tam w internecie piszą o takich *freakach* jak ja, wklepałam w telefon nasuwające się na myśl hasło: bulimia. We wszystkich artykułach pisali, że bulimia to napady obżarstwa. Ja nie miałam takich napadów, a więc chyba wszystko ze mną w porządku? Kliknęłam proponowany link. Anoreksja też nie, bo przecież lubiałam jeść, tylko żołądek mnie bolał.

Przy kolejnym kliknięciu przeczytałam coś, co wystraszyło mnie nie na żarty. Podobno od ciągłego wymiotowania psują się zęby. Tym sposobem w czwartek wieczorem obiecałam sobie nie wymiotować.

W piątek wciąż trwałam w postanowieniu, za to przypomniałam sobie o kluczach. Ale zadzwonił ostatni dzwonek, a wraz z nim zaczął się weekend. Pierwsze koty za płoty — chłopakom w końcu się znudzi, a ja będę mogła żyć w spokoju.

W poniedziałek, po tym jak Maks splunął mi do talerza, zarysowałam sobie udo w tym samym miejscu, co cztery lata wcześniej.

We wtorek, po serii wyzwisk, tak samo.

W środę od tępych kluczy miałam na udzie nie tylko szramy, ale i siniaki. Przeszukałam swój pokój i zebrałam wszystko, co było ostrzejsze od kluczy. Miałam do wyboru nożyczki biurowe, cążki do paznokci lub... tak, to było to. Żółty breloczek będący podręcznym nożykiem introligatorskim. Mogłam go brać do szkoły, trzymać zawsze przy sobie i używać, gdy tylko musiałam się uspokoić. Nikomu nie było mnie żal, ale chociaż ja sama pamiętałam, że mam te rany. Da się je wskazać palcem, wytyczyć ich początek i koniec, sklasyfikować i nazwać. Ta głębsza. Ta bardziej poszarpana. Ta szersza na dole, a na górze pociągnięta od niechcenia.

Jedna obelga, jedno pociągnięcie. Dzienny przyrost: od jednego do dziesięciu.

Maks

Druga klasa zaczęła się wkurzająco, ale stabilnie. Jak już wspomniałem, w naszej szkole pojawiła się Elwira. Tu piąteczka, tam piąteczka, och i ach, klaso, popatrzcie na Elwirę, jednak dało się zaliczyć tę klasówkę, powinniście brać przykład z Elwiry.

Łaskawie załatwiłem jej cipkobloka, o czym rzecz jasna nie wiedziała i nie mogła się dowiedzieć, boby krzywo było — nawet nie chciałem sobie wyobrażać spojrzenia dyrektorki po tym, jak Ela by jej doniosła. Ignorowała mnie albo odgryzała się, ale zazwyczaj jedynie patrzyła na mnie jak na ścierwo.

Chłopaki się wkurzali, że do niej nie zarywam, ale jak się okazało, miałem wystarczającą władzę, by rozporządzać cudzym życiem seksualnym, i to było zajebicie przyjemne uczucie. Mogła patrzeć na mnie z obrzydzeniem, ale bawiło mnie, że nawet nie wie, jak daleko zarządzam jej życiem towarzyskim.

Pierwsze dwa tygodnie były w porządku, a potem, w połowie września, zaczęło się pierdolić, tak na całej linii.

Najpierw ogólnie zrobiło się ponuro, bo zniknęła Kaśka z naszej klasy. Policja przesłuchiwała wszystkich, zaczęto poszukiwania. Jej starzy z tej okazji wytrzeźwieli i wszędzie rozwiesili ogłoszenia ze zdjęciem, które miała ustawione jako profilowe na fejsie. Bardzo ładnie na tym zdjęciu wyglądała.

Mijały tygodnie, Kaśki wciąż nie było, sprawa rozeszła się po kościach. Ktoś gadał, że widziano ją na mieście, inny, że wyjechała za granicę. Raz wrzuciła coś na swojego fejsa. Po takiej wrzutce policja chyba powinna umieć ustalić, gdzie znajduje się telefon, nie? Nie moja sprawa. Najwyraźniej Kaśka nie chciała dać się znaleźć.

Fałszywy dowód kosztuje dwie stowy. Kto ją tam wie, może sobie wyrobiła. Zresztą w naszej okolicy i tak było spokojnie — powtarzałem sobie. W dalszych powiatach na każdym słupie wisiało ogłoszenie, że dziewczyna zaginęła, że chłopak zaginął. I ja naprawdę rozumiem, że jak się ma zjebaną rodzinę albo dosyć szkoły, to po wakacjach człowiekowi może się nie chcieć wracać do domu. Jakby moi starzy nie byli w porządku, to też bym nie wracał.

Może więc Kaśka musiała wyrobić chociaż te minimum normy na powiat?

Mniej więcej w tym samym czasie zawieszono mnie do odwołania za pobicie Dudziaka, gościa z maturalnej. Policja zgarnęła mnie ze szkoły na pogadankę i dopiero wtedy rodzice mogli mnie odebrać z komisariatu. Ale miałem naprawdę dobry powód i gdyby było trzeba, to bym mu jeszcze raz dokopał. Przez dwa tygodnie będzie miał opuchniętą mordę. Aż mnie skręcało z zadowolenia.

Zawieszenie oczywiście obeszło mnie jak zeszłoroczny śnieg. Nie mogę być przewodniczącym szkoły ani nie wolno mi startować w olimpiadach naukowych — no chyba się popłaczę z rozpaczy. Jedyna wada tej sytuacji to, że nie mogłem już chodzić na zajęcia w szkolnym klubie sportowym. Efekt? Coraz bardziej brakowało mi kumpli. No ale i tak warto było poharatać sobie knykcie na ryju Dudziaka.

Więc Kaśka, Dudziak i zawieszenie to było nic. Tak naprawdę posypało się dwa dni później.

Seria niefortunnnych zdarzeń.

Zadzwoił do mnie brat.

— Maks? Słuchaj, jest sprawa. — Nie marnował czasu na uprzejmości.

— Dajesz. — Dla brata byłem gotów zrobić wszystko.

— Dostałem dwuletni wyrok w Holandii — powiedział.

Wcięło mnie. Nie potrafiłem wypuścić nawet głupiego „kurwa, co?”. Nie byłem stałym bywalcem komisariatu, ale aż mi się słabo

zrobiło na myśl, że w takich klimatach i gorszych Adrian miałby spędzić... dwa lata. I to w zagranicznym pierdłu, a nie na własnych śmieciach...

— No, ale ścicheś. Nie rozklejaj się, młody, to tylko dwa lata.

— Jak to się stało? — zadałem pierwsze z pytań, od jakich zaroilo mi się w głowie. Nigdy bym nie posądzał mojego brata o stu-procentową uczciwość, ale dostać aż dwa lata? To nie jest byle miesięczny areszt.

— A, nie ma co gadać. Takie tam.

Znałem ten jego ostrzegawczy ton. Oznaczał tyle co: „Nie wnikaj, młody. Nie wnikaj”.

— To co mam dla ciebie zrobić? — spytałem przez zaciśnięte gardło.

— Musisz mnie kryć przed starymi.

— Jak niby? Nie odwiedzisz nas w święta — powiedziałem. — I zauważą, że nie dosyłasz im forsy.

— No właśnie. I tu wchodzisz ty.

— To znaczy?

— To znaczy, że czas, żebyś spłacił trochę długu, młody. Przedzwonię do starych i powiem, że z kasą słabo. Że nie pięćset, a powiedzmy trzysta im teraz będę dosyłał.

— Ale skąd je weźmiesz?

— Ja? — Adrian się zaśmiał. — Nie ja. Ty. Dupa w troki i do roboty, młody. Przez dwa lata przesyłałem forszę, teraz twoja kolej. Tylko znajdź sobie coś normalnego, żeby i ciebie od razu nie przyknęli. Chłopaki zerkną, czy się nie pakujesz w kłopoty.

Zmroziło mnie. Maciek i Stefaniak to były naprawdę duże chłopaki, w wieku mojego brata — solidne dwadzieścia siedem lat i każdy po dobre trzydzieści kilo więcej ode mnie. Pakowali z Adrianem, a gdy Adrian wyniósł się do Holandii, wyjechali wraz z nim. Teraz było jasne, dlaczego wrócili. Dlatego, że Adrian miał być wyjęty

z życia na kolejne lata. Ale najwyraźniej i tak ich trzymał w garści, skoro mógł nimi straszyć ludzi.

Na przykład własnego rodzonego młodszego brata.

— Ja już pracuję, Adrian — wychrypiałem. — Na Dolku, u mechaników. Nie mam jak pracować więcej. Chodzę do szkoły. Nie mogę.

— Szkoła? — zaśmiał się. — No chyba sobie, młody, żartujesz.

— Nie mam jak zarobić dodatkowego tysiąc dwieście — powtórzyłem. — Mogę w twoim imieniu dosyłać maksymalnie sto euro. Ale nie wycisnę więcej.

Zapadła cisza.

— Adrian? — zagadałem, kiedy się nie odezwał. — Jesteś tam?

— Okej, Maks, nie zrozumiałeś. — Głos brata się zmienił i nie był już spokojny. — Nie obchodzi mnie, czy dasz radę, czy nie. Masz spiąć dupę i wyrobić za mnie tysiąc dwieście złotych, gówniane trzysta euro. Lub więcej, ale nie mniej. Nie obchodzi mnie jak, byleby starzy mieli forszę, więc nie spierdol sprawy i nie wyląduj zaraz w poprawczaku. Jeśli się wywiniesz, uznam to za sygnał, że cię nie obchodzę. Uznam to za zdradę. A ze zdrajcami nikt się miło nie obchodzi. Jasne?

Nie miałem pojęcia, co mam powiedzieć.

— Jasne? — powtórzył przez zaciśnięte zęby. Nawet przez telefon słyszałem, jak w złości marszczy nos.

— Jasne — potwierdziłem słabym głosem.

— No. Dobra morda z ciebie. Maciek i Stefaniak dadzą mi znać, jak ci idzie. Jeśli wiesz, o czym mówię.

Ścisnęło mnie w żołądku. Mój brat naprawdę był gotów zlecić pobicie mnie, jeśli nie zapłacę mu tysiąca dwustu złotych miesięcznie w imię kłamania rodzicom? Co się właśnie zadziało?

— Wierzę w ciebie, młody — powiedział Adrian. — Czas start. Pierwsza wpłata w następnym miesiącu. — I rozłączył się.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

ZATUSZOWANA MIŁOŚĆ

Niewielka wieś gdzieś na Mazurach. Dwójka młodych ludzi. Każde jak z innego świata: Ela, pilnie przygotowująca się do matury, ma przed sobą starannie zaplanowaną przyszłość. Jej sąsiad wręcz przeciwnie. Brak perspektyw, ciężka praca od dzieciństwa, ciągła bieda — Maks już dawno uwolnił się od złudzeń o swoim życiu. Stykając się codziennie z Ela, podziwiał ją i zazdrościł. Rodziców. Pieniądzy. Możliwości. Wszystkiego. Wzorowa panienska z dobrego domu nie nadaje się do kochania. Maks, typowy bad-boy, może jej jedynie nienawidzić.

Życie Maksu komplikuje się, gdy jego starszy brat trafia do więzienia i wymusza na nim spłatę długu. Chłopak, pragnąc odciąć się od kryminalnego półświatka, bierze się ostro do pracy. Postanawia zdać maturę i zaczyna na siebie zarabiać. Nie zapomina jednak o sąsiadce. Ich trudna relacja, podszyta coraz bardziej oczywistym pożądaniem, wymyka się spod kontroli. Dziewczyna ucieka od Maksu i wyprowadza się z domu, a bliźni po ich dziwnym miłosno-nienawistnym związku zaczyna przykrywać tatuażami...

 **editio**red



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:

- 📍 <http://editio.pl/promocje>
- 📖 Książki najchętniej czytane:
📍 <http://editio.pl/bestsellery>
- Zamów informacje o nowościach:
📍 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-6568-1



9 788328 365681

Cena 39,90 zł